

Żałobna normalizacja

30 kwietnia 2010

Po śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Polsce miało być normalnie.

W tym niezrealizowanym scenariuszu czołowi politycy i komentatorzy przemówiliby łamiącym się głosem przez łzy. Niektórzy nawet szczerze – w końcu ci, którzy zginęli, pomimo wszystkich różnic, konfliktów, antypatii i sprzecznych interesów, wspólnie z nimi należeli do tzw. elity kraju. Odbłyby się też uroczystości żałobne – choć może nie na Wawelu. Masowe zaangażowanie przewidywano tu na poziomie przyzwoitym – ostatecznie zginęła głowa państwa z wieloma jego wysokim urzędnikami – ale nie nadzwyczajnym. Lech Kaczyński za życia nie był przecież postacią popularną ani szanowaną.

Tymczasem zaczęło się dziać coś nieprzewidzianego. Na co dzień całkowicie biernym konsumentom mediów przyszło do głowy, że ich oszukiwano. Lecha Kaczyńskiego trudno przedstawiać za niedościgły ideał męża stanu. Byłoby to zresztą jedynie mechanicznym odwróceniem wcześniejszych manipulacji, w których przerabiano go na wroga Europy, jednego z architektów „policyjnego państwa PiS”, „buraka” i „kartofla”. Gdy jednak, w pierwszych dniach po śmiertelnym wypadku, przypominano jego biografię i sylwetkę, okazywał się on kimś wiernym swoim wyborom, myślącym, wykształconym i na swój sposób ujmującym. Cechy te uwidaczniały się szczególnie na tle jego poprzedników na prezydenckim urzędzie: Jaruzelskiego, czyli oficera, który zdradzał swych towarzyszy walki tak w początkach, jak u schyłku swej politycznej kariery, lumpenproletariackiego cwaniaka Wałęsy czy nieprzytomnie kłamiącego prawie magistra Kwaśniewskiego. Można go było wręcz uznać za człowieka osamotnionego wśród cyborgów do robienia polityki pojmowanej jako gra małych interesów.

A gdyby nawet Kaczyński faktycznie pasował do urobionego mu

wizerunku postaci równie zacieklej, co indolentnej i niekompetentnej? Jego pośmiertna dyskredytacja nie uratowałaby nieszczercze lamentujących za nim prominentów, którzy do dnia wypadku specjalizowali się w wieszaniu na nim psów. Przeciwnie, ośmieszyłaby ich hipokryzję. Trafne pytanie w tej kwestii udało mi się zasłyszeć przed pałacem prezydenckim od strażnika miejskiego: „Jeśli go opluwali, to dlaczego teraz płaczą?”.

Złość na plucie, będące zarazem łgarstwem, rozlała się dosyć szeroko. Przemiany w ludzkich głowach odnajdują zwykle typ zachowania, który potrafi je wyrazić. Tym razem stała się nim zajęcie miejsca w kolejce do trumien pary prezydenckiej. Udział we mszy na przykład, odwołuje się do utrwalonych emocji i zachowań. Na demonstracji z kolei na ogół dzieje się coś nowego i zaskakującego. Znosząc trywialne uciążliwości wielogodzinnego „kolejkowania”, nie można jednak skorzystać z takich rodzajów psychologicznego wsparcia. Wymaga więc ono silnej determinacji. W dodatku, to całkowicie spontaniczne i oddolne pożegnanie z prezydentem (bo przecież do przychodzenia pod pałac nie wzywał żaden autorytet, prezenter ani kabaretowy gwiazdor) wydarzyło się w kraju, gdzie jedyną właściwie formą względnie masowego zgromadzenia była od lat promocja w markecie.

Nawet nie będąc skłonny do ulegania zbiorowym nastrojom, można było ulec wrażeniu, że polska historia – jak w trakcie pierwszej wizyty Jana Pawła II czy w Sierpniu 1980 – zerwała się do skoku. Statystyczne podsumowania z nieocenionych profesjonalnych źródeł informacji przyniosły wprawdzie dawkę otrzeźwienia. Tłumy zgromadzone na Krakowskim Przedmieściu były wprawdzie liczne (podobno ok. 180 tysięcy), lecz nie aż tak oszałamiająco, jak to się mogło wydawać w dniach, gdy dobiegały z nich sygnały, że na dojście do celu trzeba czekać pół doby, a może i dłużej. Długie trwanie żałoby wywołało dość oczywisty efekt zmęczenia materiału ludzkiego. Komentatorzy z mediów liberalnych mogli więc odnotować ze słabo ukrywaną

satysfakcją, że na uroczystościach pogrzebowych w Warszawie i Krakowie pojawiło się mniej uczestników niż oczekiwano.

Żałobę autentyczną psuła odgórnie lansowana „zgoda narodowa”. Jak to obwieścił Bronisław Komorowski zaraz po nadejściu pierwszych wiadomości ze smoleńskiego lotniska powinniśmy, jednocząc się w bólu i smutku, zapomnieć na długo o dotychczasowych podziałach na formację rządzącą i opozycję lub też lewicę i prawicę. Gdyby tak się stało, nikt nie przeszkadzałby marszałkowi Sejmu, pełniącemu obowiązki prezydenta, podpisać szybko ustaw, do których Lech Kaczyński zgłaszał zastrzeżenia. Wypadek pod Smoleńskiem zapewne zmartwił i przeraził czołówkę Platformy, ale zarazem dał jej wymarzoną pełnię władzy. Otworzyła się łatwa i szybka ścieżka do przechwycenia przez tę siłę przewodnią opornych dotąd wobec niej placówek: zarówno głównego banku krajowego, jak i archiwów IPN.

Nieprzewidziana reakcja sporego – mimo wszystko – odłamu społeczeństwa zakłóciła ten oczywisty bieg wypadków. Liberalny establishment się przestraszył. Lecha Kaczyńskiego na pokaz żałowano, nakładając równocześnie kaganiec etatowo ścigającym go psom gończym. Ale gadające głowy z programów publicystycznych – zamiast oczekiwaną od nich refleksją – pluły jadem. Ich agresja, która chwilowo nie mogła zwrócić się jawnie przeciw założycielom i przywódcom opozycji, dopadła szeregowych żałobników. Kiedy się słuchało – dajmy na to – Magdaleny Środy i Andrzeja Friszkego, odruchowo przypominały się Orwellovski kwadrans nienawiści.

Nie ma bardziej zacietrizewionego fundamentalisty niż obrońca liberalnej demokracji, tolerancji i różnorodności. A zarazem normalność lansowana przez tego współczesnego inkwizytora jest zadziwiająco nienormalna. Dyżurnych mędrków irytowała żałoba, trwająca około tygodnia. Przypadkiem wpadło mi w oko, że w Stanach Zjednoczonych, które tym mędrkom służą za wzorzec normalności, wybory po śmierci prezydenta Kennedy’ego odbyły się dopiero po roku. U nas tymczasem o przyspieszonych

wyborach mówiono już 10 kwietnia, zaś po kilku dniach ustalono ich stosunkowo szybki termin.

Wyobraźmy sobie, że na smoleńskim lotnisku zginął Nikołas Sarkozy. We Francji, chwalącej się dużą tradycją masowych zgromadzeń, w pogrzebie prezydenta uczestniczyłoby pewnie grubo ponad milion ludzi. Sztafaż symboliczny też byłby bogatszy niż w Polsce. Znicze na telewizyjnych migawkach z Paryża dosłownie oślepiłyby naszych mędrków.

Żałoba zagraniczna oczywiście nie sprowokowałaby ich wrogości. Katastrofę smoleńską można w jakimś dopuszczalnym ujęciu porównać do amerykańskiego 9/11. A przecież mędrkowie dosłownie pchali się drzwiami i oknami na – jak najbardziej żałobne – uroczystości w związku z tragicznym wydarzeniem w Nowym Jorku, które urządzono w amerykańskich placówkach dyplomatycznych. Wtedy jakoś nie wpadli na pomysł, że można by z tej okazji ponarzekać na wyolbrzymiony kult śmierci.

Znów przyda się uruchomić fantazję. W pewnym nurcie historii alternatywnej, Al-Kaidzie nie udaje się uderzyć porwanymi samolotami pasażerskimi w World Trade Center. Na ziemię runął za to (póki co, bez jednoznacznych dowodów, że przyczynili się do tego zamachowcy) Air Force One z prezydentem Bushem i sporą ekipą ze sztabu Białego Domu. Czy Amerykanie w takiej sytuacji nie ogłosiliby – aż strach użyć tego wyklętego pojęcia – żałoby? I nie obchodziliby ich może nawet intensywniej niż się na to ostatnio zdobyli Polacy?

W swoim czasie mówiono sporo o Europie dwóch czy może nawet kilku prędkości rozwoju. Polski „10/04” ujawnił, że istnieje także Europa co najmniej dwóch suwerenności. W lepszej czy bardziej równej części tego kontynentu wolno identyfikować się ze swoim państwem narodowym i jego symbolami. W drugiej, jednakże, okazuje się to niewskazane. Trąci bowiem to co najmniej nacjonalizmem i konserwatyzmem, jeśli nie czymś jeszcze gorszym.

Państwowi Europy bardziej równej nie zabrania się też prowadzenia polityki historycznej. Od pewnego czasu bez skrępowania czynią to nawet Niemcy, które upominają się o pamięć swoich – w znacznej większości wyniszczonych w radzieckich obozach – jeńców spod Stalingradu czy mieszkańców Drezna bombardowanego przez aliantów anglosaskich. Nie przeszkadza im, że zbrodnie tam popełnione – cokolwiek tam o nich nie mówić – były reakcją na ludobójczą wojnę, którą rozpętał przywódca popierany przez przytłaczającą większość narodu niemieckiego. A jeśli w Europie „drugiej suwerenności” ktoś potraktuje miejsce masowego rozstrzelania jeńców z armii swojego kraju – co, nie szukając daleko, próbował zrobić Lech Kaczyński z Katyniem – jako element polityki służącej integrowaniu zbiorowości i kreowaniu jej zagranicznego wizerunku? Wtedy uzna go się, w jeszcze najlepszym razie, za nieprzyjemnego maniaka.

Wewnątrz zjednoczonej na pozór Europy występują też zasadniczo odmienne stopnie tolerowanej samoorganizacji społecznej. W polskiej polityce wszystko przebiega zasadniczo zgodnie z planem, którego nie tworzy bynajmniej zbiorowość obywateli czy wyborców. Tyle, iż jego realizacja nie przebiega stuprocentowo skutecznie. Tak więc przed rokiem 2005 na porządku dziennym stało ograniczenie wpływów potężnej wówczas lewicy, zwanej postkomunistyczną. Trudno pojąć, komu przeszkadzała ta formacja, uległa wobec wszystkich bez mała hegemonów świata ukształtowanego po roku 1989 i dbająca głównie o to, żeby jej prominentów nie rozliczano za przeszłość, a za to pozwolono im spokojnie się bogacić. Może – mimo swych usilnych starań – za bardzo się kojarzyła z minioną epoką zimnej wojny i bloku radzieckiego? Poza tym zaś, jak by nie maskowała swych korzeni, tkwiących w ustroju zupełnie innym niż potransformacyjny kapitalizm, to jednak nimi właśnie przyciągała niechętną wobec „nowej rzeczywistości” część elektoratu?

Planowo wywołana atmosfera przełomu antykorupcyjnego

przyniosła jednak większe niż zakładano poparcie Prawu i Sprawiedliwości. Z kolei rządy Jarosława Kaczyńskiego (mimo że ich osiągnięcia na polu rozrachunków z przeszłością oraz ścigania quasi-mafijnej szarej strefy były w gruncie rzeczy dość ograniczone, gdyż ani nie przeprowadziły ustawowej lustracji, ani nie doprowadziły do skazania żadnego z prominentów o lepkich rękach) wywołały panikę wśród korporacyjnych elit politycznych, finansowych, medialnych czy akademickich. Obydwaj Kaczyńscy nie chcieli też przyjąć do wiadomości, że Unia Europejska – co wyżej opisano – ma dla swych członków zróżnicowane szczeble suwerenności. Z tego ostatniego nie wynika, że suwerenność w polityce międzynarodowej zawsze pojmowali stuprocentowo trafnie. Do ocen krytycznych może prowokować zwłaszcza ich podpisywanie się obiema rękami pod strategią republikańskiej administracji prezydenckiej Stanów Zjednoczonych. Ale to już temat na inną opowieść. Za samo upominanie się o awans Polski z drugiej ligi suwerenności do jej ekstraklasy, Kaczyńscy musieli zapłacić. Co najmniej – reputacją i posiadaną władzą.

Po wyborczej porażce PiS miała już zapanować pełna normalizacja. Co najwyżej, jak diabełek z pudełka wyskakiwały osoby w rodzaju Pawła Piskorskiego i Andrzeja Olechowskiego. Chyba w tym celu, aby przypomnieć liderom Platformy, że jeśli nie będą szybciej likwidować (czy – jak kto woli – reformować) chociażby mediów publicznych i państwowej służby zdrowia, to są już chętni do wyręczenia ich na tym polu.

W sumie, społeczeństwo może głosować albo – jeszcze lepiej – udzielać odpowiedzi ankieterom. Tak naprawdę rządzi jednak oligopol. Jego centrów należałoby szukać tam, gdzie przecinają się oddziaływania, zależności i oczywiście interesy czołowych państw Europy pierwszej suwerenności (chyba najbardziej liczą się tutaj Niemcy), miejscowych koterii politykierskich, koncernów stawiających na rynek polski i grup opiniotwórczych, czyli po prostu propagandowych. Jeśli gadająca głowa dyżurnego mędrka zaprotestuje w tym miejscu przeciw spiskowej teorii

dziejów, należy ją wyśmiać. Ona sama najlepiej wie, że nie płaci jej święty Mikołaj. Są i tacy magicy, którzy potrafili służyć oligopolowi najpierw jako prorocy antykomunistycznej rewolucji moralnej, potem jako twórcy pozorowanej alternatywy publicystycznej dla dzienników i tygodników opinii z pierwszej dekady III RP, a wreszcie skończyć na dnie, z którego bluzgają na „żałobną cywilizację śmierci”.

Żałoba po prezydencie odbiła się szokiem, frustracją i płynącą z nich nienawiścią w kręgach oligopolu, gdyż pokrzyżowała jego strategiczny plan. Platforma i jej zaplecze propagandowe są teraz słabsze niż przed „10/04”. Ale czy załączki odrodzenia polskiego społeczeństwa, ukształtowane w trakcie żałoby, okażą się trwałe? I czy zostaną właściwie wykorzystane przez zgłaszających się do tego ideologów i przywódców?

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)